

Leżę sobie, panie, spokojnie w przedsionku, kiedy nagle przygniata mnie kolaniem taka jedna w chusteczce i mówi tym, co tam śpią w środku, że już mają nie spać, a w ogóle to mieli nie spać już od 45 minut. Zaczęli się zaraz wytarabaniać, bez krztyny szacunku dla mnie i kolegów. Karrimor Fioletowy dostał łokciem w kieszonkę aż mu staniki powylatywały! Kręcili się przez dłuższą chwilę bez większego sensu (jak zwykle zresztą), a w powietrzu wisiała wilgoć nadchodzącego deszczu oraz często przelatywało słowo „apel”.

W trakcie operacji kręcenia się napchali nas gratami, a siebie kanapkami. Z nieba kapalo, a mimo to ten duży, co chodzi z Vaude Czarnym, zebrał wszystkich innych:

— Całość na moją komendę baczność! — zakrzyknął, po czym dodał — W tył w miejscu kuuuulbaczyyc!

Nareszcie! Koniec tego leżenia w błocie! Znosili nas długo i niektórzy byli nawet tacy uprzejmi, że owinęli nas w wodoodporne wdzianka. Ci zwani "kierownictwem" osłaniali tych, którzy siedzieli im na plecach za pomocą najnowszego amerykańskiego wynalazku zwanego "parasolem". Spisywali się dobrze, nawet na bardzo stromym i śliskim odcinku zejścia (zjeżdżalni) — żaden z naszych nie został klapnięty w błoto. Gdy doszli do drogi na dnie dolinki, przez długą chwilę machali rękami z panem w zielonym wdzianku, który chyba pomógł im ustalić, że w lesie nie wolno palić ognia, a iść trzeba drogą w prawo wzdłuż strumienia.

W pewnym momencie zorientowałem się, że ktoś zamienił deszcz na Słoneczko, więc wodę zamiast przyjmować, zacząłem oddawać wszystkimi porami. Z moich kolegów unosiły się całe kłęby pary (musieli być bardzo zmachani). Nasi nosiciele postanowili w pewnym momencie zatrzymać się na balu. Znaczy się, na balach, na których rozłożyli nas i swe przyzwanie, pozwalając Słoneczku robić swoje. Jak to zwykle podczas postojów, wtlaczali w siebie brązowe kostki, a tym razem też dodatkowo sypali sobie na stopy biały proszek. Ale w końcu nie musimy wszystkiego rozumieć.

Zgodnie z nieubłaganym prawem natury (zasada zachowania wysokości) zaczęli nas wnosić do góry. Mi tam wszystko jedno, choć przy wnoszeniu krajobrazy zazwyczaj przesuwają się wolniej, co bywa trochę nudne. Na górze znów się zatrzymali, a kierownictwo, jednolite jak nigdy dotąd, ustalało, gdzie też się znaleźliśmy. Pozostali nosiciele rozbiegli się po krzakach w poszukiwaniu kurek lub oddali się wypikowaniu czegoś na swoich małych plastikowych pudełeczkach. Ale w końcu nie musimy wszystkiego rozumieć. Po pewnym czasie jednolite jak nigdy dotąd kierownictwo ogłosiło, gdzie prawdopodobnie jesteśmy, wygłosiło kilka komentarzy na temat map kreskowych z czasów CK Monarchii (których nie przytoczę) oraz pogoniło całą grupę w dół. Mimo, że w dół, trwało to długo. Wysoki blondyn wyrpał się do rzeczki i zamoczył cały bok JanySporta Zielonego! Musiało to negatywnie odbić się na psychice nosicieli, bo od razu zatrzymali się i znów zaczęli w siebie wtlaczać. Ale w końcu nie musimy wszystkiego rozumieć. Mój nosiciel (straszny ciamajda) wdepnął w błoto tak, że nalało mu się do buta górą. Ech, z kim to przychodzi plecakowi pracować...

W końcu doszli do jakiejś łączki przy drodze (niczego sobie zresztą) i zaczęli rozstawiać namioty. Pewien czas potem skończyli rozstawiać namioty i zaczęli podgrzewać ciecze na ogniu (150 metrów od obozu, w górę strumienia, skręć w lewo, omiń kamień, wywróć się dwa razy, wdepnij w menażkę i przeproś za nieprzystojne słowa — jak relacjonowała jedna z nosicielek). Tym razem ciepłe substancje przygotowywali i wtlaczali już po ciemku, co strasznie irytowało tego, co nosi mojego kolegę z przedsionka — Pajaka Zgniłozielonego.

Jak zdążyłem się zorientować, tego dnia mieli zamiar znów siedzieć w kółko wokół ognia, ale tej nocy nie było już czasu.

*Natalex Czarny*

I oto nadszedł ów dzień gdy wioskę przenosić przyszło.  
I wtedy Mojżesz zbudził lud swój wołaniem "Powstańcie!".  
I powstał lud z martwych i z namiotów swoich.  
I Judasz, gdy powstał, zapragnął ugasić pragnienie swe.  
I sięgnął wtenczas po bukłak z wodą.  
I stał się cud, i woda benzyną się stała.  
I splunął Judasz, a oczy w słup stanęły mu.  
I radował się lud cudem owym, bo widział, że był dobry.  
I podążył za Mojżeszem w dół góry.  
A na dole góry nie było obiecanych wozów ni koni.  
Ni wołów, ni mułów, ni wielbłądów, ani też innej rogacizny i nierogacizny.  
I Mojżesz przekonał chłopca ubogiego, by zabrał nas wszystkich na swą dwukólkę.  
A w środku był płacz i zgrzytanie zębów, bowiem dwukółka jego małą była.  
Aż patelnię diabli wzięli.  
A w Gurze Humorului woły już były i wozy drabiniaste w pociąg ustawione.  
I zabrał się nimi lud cały, i radował się, bo widział, że naprzód podąża.  
I przyszło mu w Suceavie wozy odmienić.  
I Judasz sprawił, że Pan zesłał bilety.  
A uczynił to modlitwą, przemocą i rumuńską mową.  
I znowu stał się cud, i Judasz zdążył.  
A liczbą biletów pięćdziesiąt było i jeden, mimo iż mężów siedemnastu było.  
I żon.  
I radował się lud, dalej naprzód podążając.  
I robił lud zjutki na rękę.  
I spał albo nie spał, albowiem zaspany był, albo nie.  
I jadła oraz napoju spis ustalał na górską wyprawę.  
I wtenczas jadło poczęło wychodzić z ludu stroną wtórą.  
Pierwej na palcach można było policzyć tych z przypadłością rzadką ową.  
A pod wieczór połowa już ludu przepuszczała jadło bez zatrzymywania go w sobie.  
I radowała się druga połowa ludu widząc, że jadło było dobre.  
I dotarła wyprawa do celu swego.  
I namioty swe rozbijał lud na podbraszowskim błoniu.  
A robił to w ciemnościach piekielnych.  
A rozświetlały je tylko oliwne lampy elektryczne.  
A strawę warzono długo i z mozołem.  
A spożyć pragnęła ją ludu ledwie połowa, albowiem druga połowa sraczkę dostała.